

# Kochaj teatr albo rzuć

Z Anną Dymną rozmawia Janusz R. Kowalczyk

— W przeciwieństwie do wielu koleżanek i kolegów ze Starego Teatru w Krakowie nie uległa pani kusicielom podszeptom i nie przeszła do Warszawy...

— Dostałam się do Starego Teatru w najświetniejszym jego okresie. Spektakle robili m. in.: Konrad Swinarski, Jerzy Jarocki, Andrzej Wajda, Jerzy Grzegorzewski. Miałam pełną świadomość faktu, że lepszego teatru nie znaję. Tam się wychowałam i wszystkiego nauczyłam. „Stary” był dla mnie jakby drugim domem — miałam w nim swoich przyjaciół, bez których nie widziałam życia. Z Krakowem byłam też związana rodzinnie i sentymentalnie. Bez tego miasta długo wyżyć nie potrafię. Rzeczywiście byłam kuszona przez Warszawę i mogło się ze mną stać to, co z wieloma aktorami, którzy ulegli. Grali przez dwa sezony wszystko, mieli setki propozycji, a potem nagle — koniec.

— Praca w Krakowie utrudniała pani jednak częstszy kontakt z filmem.

— Miałam tę cudowną sytuację, że grywałam i w filmach, oczywiście nie we wszystkich. Z wielu propozycji musiałam rezygnować. Ominęło mnie kilka ewidentnie złych filmów, choć i kilka dobrych. Za swój największy sukces uważam, że wciąż jestem potrzebna w „Starym”, który — mimo że się tak wiele mówi o kryzysie teatru — istnieje i nie spuszcza z tonu. Ciągłe jesteśmy teatrem dramatycznym, nie robimy pornograficznych sztuk ani operetek dla tzw. szerszej publiczności.

— Zwiedziła pani z teatrem prawie cały świat. Gdzie pani przeżyła szczególną satysfakcję jako aktorka? Gdzie poza Polską nasza sztuka teatru jest najżywiej odbierana?

— Najwięcej podróżowałam z grupą, z którą gram w Warszawie. Graliśmy głównie dla Polonii „Męża i żonę”, a ostatnio, z innymi kolegami, „Pana Tadeusza”. Na każdej takiej trasie bywają bardzo wzruszające chwile i sporo możemy się nauczyć. Niezapomnianym moim przeżyciem za granicą były „Dziady” Starego Teatru w reżyserii Konrada Swinarskiego. Graliśmy w gotyckiej katedrze w Londynie. Pamiętam przedstawienia z placzącymi ze wzruszenia Murzynami. Oni przecież z grane-

go po polsku dramatu narodowego, bardzo hermetycznego dla obcokrajowców, nie rozumieli ani słowa. Stało się coś niezwykłego — prysnęły bariery językowe. Wszystkimi zawiadnął nastrój, napięcie i niepowtarzalna magia teatru.

— Czy w kinie zdarzały się pani równie magiczne momenty?

— Całe życie rezygnowałam z filmów dla teatru, nigdy odwrotnie. Ale, co tu ukrywać, film przynosi popular-

jednak miłość.

— Nie zawsze można sobie pozwolić na wybieranie ról...

— Na początku mej aktorskiej drogi grałam w różnych filmach role, jakich w tej chwili prawdopodobnie bym nie przyjęła. Ale takie są prawa młodości. Wtedy miałam czas tylko dla siebie i wychodziłam z założenia, że muszę wszystko zobaczyć, spotkać się na planie z nowym reżyserem. Każdy film czegoś mnie nauczył. Ale teraz, jeśli propozycja mnie nie fascy-

raz jego teksty mówione przez innych zupełnie nie brzmią, stają się puste, bez sensu. Piotr Skrzynecki namawiał mnie, żebym wystąpiła. Przynosił mi nawet jakieś teksty, ale zawsze znalazł się powód, żeby mu odmówić. Zmierzenie się w tak bliski sposób z publicznością, narzucenie jej swojej osobowości, jest akurat tym, do czego brak mi śmiałości. Zawsze się bałam kabaretu.

— Za to teatr przynosi niekiedy role, o których się wcale nie marzyło, albo wręcz nie



Fot. Jacek Domański

ność. Stary Teatr nie ma kłopotu z publicznością, która — co nie jest tak całkiem bez znaczenia — odnajduje na scenie aktorów znanych z filmów. Oczywiście do popularności trzeba mieć zdrowy stosunek, bo wiem, jak często zyskuje się ją za rolę w jakimś kretyńskim serialiku. W tej chwili długo się zastanawiam, zanim przyjmę nową rolę filmową. Muszę mieć do niej przekonanie.

Film to przygoda — poznaje się nowych reżyserów z innymi wymaganiami, nowych kolegów — ale to nie jest sposób na życie. Teatr — tak. Wolę pracować w teatrze, choć to daje mniej pieniędzy i na pewno mniej popularności. Ale pewne rzeczy się kocha, a inne się lubi. Wybiera się

nuje, to nie chcę tracić czasu, który mogę poświęcić dziecku. Choć aktor, jeśli ma tylko możliwości, powinien pracować wszędzie. I w filmie, i w telewizji.

— I w kabarecie. Przez męża, Wiesława Dymnego, była pani bardzo mocno związana z „Piwnicą pod Baranami”. Jednak w kabarecie, ani na estradzie jak dotąd nie ujrzała pani.

— Uważam, że jak się już coś robi, to trzeba się temu oddać bez reszty. A mnie młodość mijala na rozjazdach między filmem i teatrem. Poza tym kabaret, to jest zupełnie inny gatunek sztuki. W „Piwnicy” spędziłam pół życia. Patrzyłam, jak Wiesiek porażał piwniczną publiczność swoją osobowością. Był wspaniały. Te-

lubi. I co wtedy?

— Wiem z doświadczenia, że te najbardziej wymarzone role

bardzo często przynoszą rozczarowania, a role, których z początku nie chciałam, dawały sukcesy i satysfakcję. Zależy z kim się pracuje. Kiedy Jerzy Grzegorzewski miał robić u nas „Wesele”, myślałam: „żeby tylko znowu nie grać Zosi albo Haneczki” — miałam koło trzydziestki, a ciągle grałam takie „piplaje”. Wywiesili obsadę i... miałam Zosię lub Haneczki do wyboru. Potem, kiedy zaczęłam pracować z reżyserem i wspaniałymi kolegami, poczułam, że mam fascynującą rolę. Każda rola jest wspaniała. Zależy tylko, co aktor w niej znajdzie i czy reżyser to zaakceptuje czy nie. Nawet, jak się gra potwora, trzeba go pokochać.

— Nawet jeśli jest to potwór filmu reklamowego?

— Jeśli dobry aktor może swoją twarzą ucieszyć ludzi i jeszcze wziąć pieniądze — to dlaczego nie? Czemu mają płacić komuś, kto nie umie tego robić? Ale nawet głód nie zmusiłby mnie do tego, by reklamować np. nocniki czy szczotki do sedesu. Czasem mi przykro, gdy widzę wspaniałego aktora, reklamującego coś, co nie pasuje do mojego wyobrażenia o nim.

— Czy oprócz możliwości kręcenia reklamówek, coś jeszcze zmieniło się ostatnio w pani życiu zawodowym?

— U mnie się nic nie zmieniło. Kiedyś ciężko pracowałam i nadal ciężko pracuję. A generalnie — to ze zmianą czasów zmienił się stosunek ludzi do aktorów. W okresie stanu wojennego i tuż po nim spełnialiśmy misję — byliśmy ostoją prawdy, przenoszonej przez mroki. Ludzie przychodzili do teatru jak do świątyni, by posłuchać o wolności. Skończyło się. Spadliśmy z ołtarzy do funkcji zwyczajnych wyrobników w jednym z wielu fachów. Teraz już niczego między wierszami nie powiemy, bo wszystko można mówić wprost, niekoniecznie ze sceny. Chociaż dla mnie praca w teatrze była, jest i zawsze będzie magiczna i niezwykła.

— A nastrój na widowni? Zmienił się?

— W Starym Teatrze widownia jest zawsze wspaniała, bo Kraków jest miastem, które ma swoją stałą widownię. Wspomagają ją wycieczki, które za punkt honoru uważają odwiedzić na Wawelu, w Sukiennicach i u nas. My już działamy mitem.

— Na ten mit składała się praca wspaniałych artystów, już po części nieżyjących. Jaki reżyser, aktor, osobowość teatru najbardziej zapadła pani w pamięć?

— Do teatru wprowadzali mnie: Lidia Zamkow, Konrad Swinarski, Jerzy Jarocki, Andrzej Wajda, Jerzy Grzegorzewski. W pracy z nimi byliśmy jak uskrzydleni. Podobnym entuzjastą dziś jest Rudolf Ziolo. Zarzulił mnie swoją pasją teatru. Wiem, że mój fach ma tylko wtedy sens, jeśli się go wykonuje z pasją. Bez niej lepiej w ogóle go nie uprawiać, bo wtedy jest to zawód poniżający, porażający. Nauczyl mnie, że to co robię, muszę kochać, bo inaczej lepiej wyjść.

— ...Kochaj albo rzuć...

— Właśnie... Wiele też się nauczyłam się od Władysława Hańczy, z którym miałam szczęście grać w dwóch filmach. Poznałam wspaniałych ludzi. Odkąd przyszedłam do teatru, zawsze podziwiałam nestorów sceny. Do tej pory wzorem aktorki jest dla mnie niezjąca już Zofia Jaroszevska. Z prawdziwym podziwem patrzyłam na tę przeszło osiemdziesięcioletnią panią, zawsze uśmiechniętą, zycielną, dźwięcącą, nierozgryzoną i niezłomną. To była prawdziwa dama. Wzdycham do Boga, żebym ja potrafiła być choć w połowie taka, jak ona. Trzeba umieć z godnością przeżywać swój wiek — odchodzić w cień, kiedy pojawiają się młodsze i ładniejsze, choć jest jeszcze tyle ról, których się nie zdążyło zagrać. Już się nie gra panienek, tylko dojrzałe kobiety, a tych ról jest znacznie mniej.

— Po latach grania, nawet u największych aktorów pojawia się rutyna. Czy trzeba z nią walczyć? Jak?

— Bywa i tak, że wielcy aktorzy, którzy już nikogo nie mają nad sobą, nie grają, tylko pokazują, że umieją grać. Mam nadzieję, że mnie to nie dotknie. Kiedy dostaję jakąś rolę, zupełnie nie wiem, jak ją zagrać. No, i w porządku. Ale jak gramy „Pana Tadeusza”, po raz 170, to już musimy się dokładnie kontrolować, żeby nie odwalić „słupków”, myślic o czymś innym. Na szczęście wciąż nas to jeszcze bawi i cieszy, szczególnie, gdy jest żywo reagująca publiczność.

— Ma pani wielu fanów...

— Na ten temat mogłabym udzielić osobnego wywiadu. Był okres, kiedy byłam na fali po „Znachorze” i roli Barbary Radziwiłłówny. Otrzymałam tysiące bardzo sympatycznych listów, choć i kilka niebezpiecznych. Ktoś mnie chciał nawet zabić, za to tylko, że jestem aktorką. My, aktorzy, jesteśmy ludźmi publicznymi i z tym się wiąże i miłe, i niemile sprawy.

— Czy dziś jeszcze warto ryzykować aktorski chleb?

— Czy warto? Warto być dobrym aktorem w dobrym teatrze, ale to chyba oczywiste. Dopóki są teatry. A teatry będą zawsze. Nie ma narodu bez kultury, a kultury bez teatru.